

kultura

"Panowie nie zabierajcie mamusi"

13 grudnia mijają 22 lata od wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Dzień ten był tragedią dla wszystkich, którym marzyła się wolna i niepodległa Ojczyzna. Wiele osób poniosło konsekwencje swoich działań, trafiając do więzień, gdzie spotkały je represje i upokorzenia. Wspomina Anna Rakocz, działaczka Solidarności, internowana i represjonowana w stanie wojennym.

O strajku w Stoczni Gdańskiej dowiedziałem się od znajomych z Gdańska, którzy akurat przebywali w Częstochowie. Zaraz po ich wyjeździe u nas w Częstochowie zaczął działać Regionalny Komitet Założycielski NSZZ "Solidarność" przy MPK. Udałam się tam po informacje odnośnie zakładania komisji zakładowych związku. Zaczęłam tworzyć taką komisję zakładową w swoim miejscu pracy, tj. w Fabryce Papieru. Po przeprowadzeniu wyborów zostałam przewodniczącą i w związku z tym brałam udział w akcji "Ikar". Wkrótce po zakończeniu tej akcji zostałam przeniesiona do pracy w Zarządzie Regionu na stanowisko księgowej. Oczywiście moja praca w Regionie nie była tylko pracą księgowej. Robiłam tam wszystko, poświęcając całe dnie, a często i noce, przyjmując i przesyłając informacje nie dopuszczane do oficjalnych środków przekazu. Z 12 na 13 grudnia przed godziną 12 w nocy usłyszałam gwałtowne łomotanie do drzwi. Otworzył mój ojciec - byli to czterej mężczyźni, trzech w mundurach, czwarty okazał legitymację SB i poinformował mnie, że mam się natychmiast ubrać i udać z nimi do Komendy Rejonowej MO. Rozbudzone i wystraszone dzieci zaczęły płakać, prosić żeby "panowie nie zabierali mamusi". Młodsza córeczka wymiotowała w wyniku silnego zdenerwowania. Moi rodzice usiłowali poinformować o mojej ciężkiej sytuacji rodzinnej. Byłam jedynym żywicielem rodziny, po rozwodzie z mężem miałam na utrzymaniu dwie córki w wieku 4 i 9 lat. Nie odniosło to jednak żadnego skutku. Usłyszałam, że jeśli nie pójdę dobrowolnie to zostanę zabrana siłą. Któryś z mężczyzn wyjął kajdanki. Nie miałam wyjścia - poszłam z mokrą głową po kąpiel, zdążyłam tylko założyć spodnie i sweter - mama wybiegła za mną i okryła mnie kożuchem. Zawieziono mnie na "Trójkąt Bermudzki". Najbardziej utkwiała mi w pamięci rozmowa z jednym z milicjantów, pilnujących mnie przed wprowadzeniem do celi. Opowiadał mi o swojej ciężko chorej córeczce, oczekując ode mnie współczucia, a przecież sam przed kilkunastu minutami był świadkiem tego, jak strasznie moje dzieci cierpiały, widząc moje aresztowanie, i nie uczynił nic, by sytuację załagodzić. Potem zaprowadził mnie do celi. Wkrótce wprowadzono tam inne osoby, z korytarza dobiegły mnie głosy znajomych.

Następnego dnia przewieziono mnie wraz z częścią zatrzymanych kobiet do więzienia w Lublińcu. Dopiero tam poinformowano nas o wprowadzeniu stanu wojennego, i dopiero 22 grudnia doręczono decyzje o internowaniu. Od czasu do czasu byliśmy wzywani na przesłuchanie, które SB nazywało "nieformalnymi rozmowami". Usiłowali wydobyć informacje na temat działalności mojej i innych osób strasząc, że odbiorą mi prawa rodzicielskie, a moje dzieci zostaną oddane do domu dziecka. Jednak skończyło się tylko na groźbach.

W Lublińcu spędziłam święta Bożego Narodzenia. Zaczęły już do nas przychodzić pierwsze informacje od rodzin, pierwsze paczki. Najbardziej wzruszającym momentem było otrzymanie listu od moich córeczek. List wyrażał całą ich miłość i tęsknotę. Starsza - Madzia pisała, że jest ze mnie dumna, a moja malutka Dorotka swoje uczucia wyraziła rysunkami. Jedna ze współtowarzyszek niedoli Teresa Ujazdowska powiedziała na to, że "dostaję pozwolenia na wypłkanie się". Poryczywałyśmy się wszystkie. Później były już widzenia z rodzicami - co miesiąc godzinne spotkania pod kontrolą funkcjonariuszy. Z Lublińca przewieziono nas do Darłowa, gdzie spędziłam następne sześć tygodni. Rodziny nasze spędzały całe noce na dojazdach na comiesięczne widzenia.

Na początku marca przewieziono mnie do Gołdapi. Pozwolono nam zawiadomić rodziny o naszym miejscu pobytu i wtedy, gdy rodzina wybierała się na widzenie, zwolniono mnie. Niewiele brakowało, a rozminęlibyśmy się po drodze.

Na wolności zameldowałam się na komendzie, gdzie dostałam nakaz uporządkowania dokumentów księgowych w Komisarycznym Zarządzie Regionu. Przepracowałam tam do 1 maja. W tym dniu udałam się z koleżankami, które w międzyczasie powróciły z obozów internowania, na Grób Nieznanego Żołnierza, aby złożyć tam kwiaty. SB nie próżnowało. Zrobiono nam zdjęcie, a u mnie w domu przeprowadzono rewizję. W tym czasie moja starsza córka zawiadomiła mnie o tym fakcie, dlatego nie wróciłam do domu. Funkcjonariusze SB zostawili mi jednak wezwanie na "przesłuchanie w charakterze świadka" na dzień 2 maja. Udałam się więc na to przesłuchanie, z którego już do domu nie wróciłam. Tydzień spędziłam w areszcie przy komendzie, po czym wywieziono mnie do Bytomia-Miechowic z decyzją o powtórnym internowaniu, której uzasadnieniem było "kontynuowanie działalności związkowej w okresie stanu wojennego". Gdy dotarłam do Bytomia, spotkałam tam kilka koleżanek ze Śląska, z którymi siedziałam w Darłowie. Początkowo nie poznały mnie - tak bardzo zmieniłam się i wychudłam przez ten tydzień spędzony w areszcie, gdzie nie byłam w stanie nic wziąć do ust.

W Bytomiu czasem umożliwiono nam wspólne spotkania w świetlicy. Podczas jednego z takich spotkań funkcjonariusze pilnujący nas wpuścili przez okno do świetlicy gaz łzawiąco-duszący. Wszystkie naraz zaczęłyśmy kaszleć, łyzy same ciekły nam z oczu, rozbiegłyśmy się do pokoi. Gaz rozprzestrzenił się na cały budynek, więc całą noc spędziliśmy w tej duchocie. Następnego dnia na ręce komendanta obozu złożyliśmy zażalenie do prokuratury. Po dwóch dniach przyjechała komisja do zbadania tego zajścia, która stwierdziła, że to co się zdarzyło, nie mogło się zdarzyć, świetlica od tej pory była zamknięta, a drzwi do niej oklejone papierem.



W Bytomiu siedziałam do 22 lipca, kiedy to zwolniono wszystkie internowane kobiety. Po wyjściu poszukiwałam pracy. Zaczęła się beznadziejna wędrówka od zakładu do zakładu. Miejsca pracy były, ale nikt nie chciał mnie przyjąć. Dopiero pod koniec września dzięki poparciu przychylnych mi znajomych udało mi się uzyskać pracę w Spółdzielni "Rzemieślnik". Jednak represje nie skończyły się, kilkanaście razy byłam wzywana, przesłuchiwana, zatrzymywana, przeprowadzono rewizję u mnie w domu, byłam karana przez Kolegium ds. Wykroczeń za udział w nielegalnej manifestacji 1-majowej. Trzy razy odmówiono mi wydania paszportu. Odmowy te były uzasadnione powoływaniem się na art. 4 ust. 2 pkt 2 ustawy z 17 czerwca 1959 r. Punkt ten brzmi: "Przeciwko wydaniu paszportu przemawia wzgląd na bezpieczeństwo państwa, obronność, ochronę tajemnicy państwowej, albo gdy mogłoby to narazić gospodarkę narodową na znaczne straty lub spowodować poważne zakłócenia w jej funkcjonowaniu".

ANNA RAKOCZ (dawniej Reterska)